



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Aleksandra L. Domanowska

Włodawianka z Leslau

Zamiast wstępu – „sielanka”

Kiedy pytam ludzi urodzonych w czasie ostatniej wojny lub po niej: co to było WARTHEGAU, prawie nikt nie potrafi mi na to pytanie odpowiedzieć. A więc nikt z nich nie wie, jak wyglądała okupacja na terenach przyłączonych do Vaterlandu – do Rzeszy Niemieckiej. Pewnego razu na towarzyskim spotkaniu jedna z tych osób (przybyła z Warszawy do Włocławka już po wojnie), wyraziła się: wy to tu mieliście SIELANKĘ. Te słowa wywołały u mnie szok! Na początek więc chciałabym napisać, czego rzeczywiście nie mieliśmy w Warthegau, w porównaniu z Warszawą, Krakowem i całą Generalną Gubernią. A nie mieliśmy: polskich szkół, przedszkoli, gabinetów lekarskich, urzędów, notariatów, firm rzemieślniczych i handlowych. Nie było żadnej polskiej własności nieruchomości – również na wsi. Nie było polskich sklepów, kawiarni i języka polskiego (głośnego) na ulicy. Nie mieliśmy również jakiejś prężnej tajnej organizacji, a o nielicznych próbach stworzenia takowych świadczą dziś tylko kamienne tablice ku czci pomordowanych i ich groby. Pomordowanych zresztą „legalnie”, na mocy wyroków niemieckich sądów.

Nie mieliśmy także rzeczywiście rozstrzeliwania zakładników i w takiej skali „łapanek” ulicznych (u nas one kończyły się zwykle „wywózką” na roboty do Rzeszy). Nie mieliśmy także powstania i w konsekwencji zburzenia miasta, bo nie było organizacji działającej w tak szerokim zakresie jak w Warszawie. Nie było więc akcji odwetowych. Jednak to, co działo się w GG – działalność podziemna – było jakimś powiewem polskości, czego u nas nie było, bo nie mogło być w małym mieście na terenach Rzeszy, któremu „przywrócono” ponoć staroniemiecką nazwę „Leslau”(?!).

Dla nas zostawała tylko pieczołowicie pielęgnowana NADZIEJA na wypędzenie Niemców – abstrahując od tego, co działo się potem w Polsce – było dla nas naprawdę wyzwoleniem. Kiedy oglądam filmy z okresu okupacji, nie mogę zupełnie tej okupacji poznać. To w żaden sposób nie przypomina tego, co przeżywaliśmy. Dlatego podejrzewam, że ich autorzy (lub ich rodzice) całą wojnę spędzili w Generalnym Gubernatorstwie. Okupacja, którą ja zapamiętałam, wyglądała zupełnie inaczej, a już na pewno nie było w niej miejsca na komedię.

Spróbuję więc w tych wspomnieniach przekazać ówczesne moje obserwacje i odczucia dziecka, któremu ukradziono dzieciństwo.

Początek

Wojna zaczęła się dla mnie już w sierpniu, kiedy do mojego ojca, porucznika rezerwy, przyszedł żołnierz z rozkazem natychmiastowego stawienia się w pułku. Była noc (lub późny wieczór). Zbudziłam się i zobaczyłam tatusia w mundurze. Nachylił się nade mną i ucałował na pożegnanie. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, na jak długo. Wróciliśmy niedawno z letniska, nie w górach lub nad morzem, lecz po prostu z pobliskiej wsi. O wojnie już się wtedy mówiło. Panował nastrój niepokoju, ale jednocześnie „duch” bojowy (nie oddamy ani guzika!). Skończyłam właśnie 9 lat i trzecią klasę szkoły powszechnej. Ze szkoły pamiętam zbiórki pieniężne na LOPP – na zakup samolotów. Byliśmy pewni, że jeżeli nawet wybuchnie wojna, to nie potrwa ona długo i obronimy się z łatwością.

Tatus po wypełnieniu zleconego mu zadania (rekwizycja koni) wrócił jeszcze na kilka dni do domu.

Następne, co zapamiętałam, to mobilizacja powszechna. Bawiłam się właśnie w naszym małym ogródku, kiedy ktoś przybiegł z wieścią, że na „bani” (słup ogłoszeniowy) wisi obwieszczenie o powszechnej mobilizacji. Wszyscy wybiegli czytać, ja także.

Na pobliskiej szkole zainstalowano karabin maszynowy. Ojciec znów włożył mundur.

Następne wspomnienie to bombardowanie miasta. Mieszkaliśmy wtedy w pobliżu torów kolejowych. Niemcy bombardowali tory i stację kolejową dość niecelnie. I oto nagle „z jasnego nieba” (obrona przeciwlotnicza nie zdążyła ogłosić alarmu) spadło kilka bomb, z których jedna uderzyła w jezdnię poprzecznej ulicy, ścinając rosnący przy brzegu gruby kasztan, a druga w małą kamieniczkę naprzeciw naszych okien. Tatus kazał nam się pokłaść na podłogę. Kiedy się podniosłam, zobaczyłam wielki kurz i płat papy z dachu, który wolno opadał na rumowisko. Duży, kilkunastocentymetrowy klucz z drzwi sklepiku mojej ciotki – byliśmy wtedy w jej mieszkaniu – wleciał z hałasem, wypchnięty podmuchem.

Pamiętam także taki obrazek: na dźwięk alarmu przeciwlotniczego żołnierz na ulicy wycelował ręczny karabin w niebo – to było żalosne. Bomb wówczas na miasto spadło więcej, byli zabici.

Ojciec, bojąc się o nasze bezpieczeństwo, wywiózł nas do odległego o kilkanaście kilometrów miasteczka, Kowala. Pamiętam zatłoczoną uciekinierami szosę. My jechaliśmy wojskowym wozem z żołnierzem na koźle. Tatus jechał obok na rowerze. W Kowalu ostatecznie pożegnaliśmy się z ojcem. On miał rozkaz zaprowadzić młodzież Przysposobienia Wojskowego na pomoc Warszawie. Kiedy na Włocławek nacierali Niemcy, my, już pieszo, uciekaliśmy dalej, na wieś. Tam przeczekiwaliśmy często noce w piwnicy za chałupą. Po wejściu Niemców nie było już dokąd uciekać. Po 14 września wróciliśmy do Włocławka i zaczęliśmy życie pod okupacją.

Okupacja

Warszawa nadal się broniła, ale na ulicach mojego miasta powitał nas szwargot obcej mowy. W miejscowej Gazecie „ABC” dla Włocławka i Kujaw zaczynają się pojawiać, na rozkaz władz wojskowych, dwujęzyczne komunikaty. Jeszcze w kościołach odprawiają się uroczyste msze Św., zwłaszcza sumy, z udziałem włocławskiego bpa sufragana ks. Michała Kozala, ale miasto ma już niemieckiego komisarza Gramera, który wydaje zarządzenia, sprawiające pozór normalizacji życia. Jeszcze październikowa gazeta „ABC” (przemianowana już na „Leslauer Bote”) drukuje wielką na ponad pół strony klepsydrę zmarłego „z ran odniesionych na Polu Chwały” podporucznika rezerwy Wojsk Polskich Feliksa Steinhagena – wbrew niemieckiemu nazwisku był Polakiem – i 1 listopada oglądamy jego grób przybrany narodowymi chorągiewkami. Jest to nasza ostatnia wizyta na cmentarzu w czasie wojennego Święta Zmarłych. W następne – u bramy cmentarnej zagradza nam drogę niemiecki żandarm.

To jest dopiero początek. W mieście nagle pojawia się duża liczba cywilów ze swastykami w klapach. Częściowo są to już przybyli z Rzeszy Reichsdeutsche, ale większość to miejscowi Volksdeutsche. Wielu z nich prawdopodobnie należało do V kolumny. Pamiętam moje wielkie zdziwienie, nieomal szok, kiedy spotkałam moją wychowawczynię z takim znaczkiem – uczyła mnie przecież o mojej ojczyźnie, a teraz...? Okazało się, że wielu „polskich” nauczycieli było tą niemiecką „mniejszością narodową”.

W domu nastrój smutku, ale jeszcze nie rozpaczy. Warszawa wciąż się broni, co potwierdza niemiecki komunikat. Ten sam komunikat głosi, że „wyprawa w Polsce jest zakończona”. Sądziliśmy jednak, że gazety niemieckie kłamią i wyolbrzymiają swoje zwycięstwa. Kiedy Warszawa kapituluje, trudno nam uwierzyć, że to już koniec. A w Warszawie jest nasz ojciec!

Po kilku dniach smutna radość – tatuś wraca i opowiada o bohaterstwie i piekle w broniącym się mieście. Kiedy ogłoszono kapitulację stolicy, ojciec w ogródku willi, gdzie kwaterował, na Żoliborzu zakopał swoją broń i mundur. Sam w cywilnym ubraniu, na rowerze przejechał całą drogę z Warszawy do Włocławka. Opowiadał, że jadąc, widział swoich kolegów konwojowanych do obozów jenieckich. Może gdyby poszedł z nimi, doczekałby w oflagu wolności tak jak wielu oficerów. Ale on nie chciał iść do niewoli.

Pamiętam, jak po powrocie do domu opowiadał nam, co przeżył, prowadząc młodzież z Przysposobienia Wojskowego na pomoc Warszawie. W okolicach Kutna trafili na bitwę. On miał rozkaz doprowadzić oddział do stolicy, musiał się więc przedostać, mimo strzelaniny. Mówił do mamy: „Te dzieciaki tak bardzo się bały! Powiedziałem im więc, żeby trzymały się mnie bo mnie się kule nie imają”. I zrobili to niemal dosłownie. Wydostali się z terenu bitwy i dotarli do Warszawy.

Być może kule się go nie imają, ale w jaki sposób zginął i gdzie, nie wiemy do dziś.

O Niemcach wiedział tyle, co z czasów zaborów – uważał ich za naród kulturalny w przeciwieństwie do wschodnich sąsiadów. O Sowietach wiedział więcej. Wstąpił jako ochotnik do Legionów i walczył z nimi w 1920. Wrócił wtedy z Krzyżem Walecznych.

Mój tatuś, ojciec trojga dzieci, był człowiekiem czynu. Był oficerem i polskim nauczycielem. Wiara w kulturę najeźdźców kazała mu wrócić, bo może będzie można organizować jakąś działalność lub otworzyć szkoły. Ale ta wiara w niemiecką kulturę bardzo szybko okazała się złudna.

„Kulturalni” Niemcy wezwali do miasta nauczycieli z powiatów lipnowskiego i włocławskiego pod pretekstem odbycia konferencji przed rozpoczęciem roku szkolnego. Prawie wszyscy przyjechali. Oni też wierzyli w niemiecką kulturę. Na rzekomej konferencji kazano opuścić salę kobietom, a mężczyzn przewieziono natychmiast do miejscowego więzienia. Jednocześnie nauczycieli z miasta aresztowano w ich domach. V kolumna musiała działać dobrze, bo gestapowcy mieli listy z dokładnymi adresami nauczycieli, w tym także księży prefektów. Niemcom towarzyszył Volksdeutsche Steike – były woźny naszej szkoły, który znał nauczycieli z odbywających się w tej szkole konferencji. On służył za przewodnika, aby aresztować właściwą osobę, bo Niemcy lubili „Ordnung”. Tatuś mógł jeszcze uciec. Dwa razy mu się to udało – na widok gestapowskiego auta wybiega! drugim wyjściem i ukrywał się. Po drugiej ich wizycie postanowił uciec z miasta. Wyszedł rano, ale ktoś ze spotkanych na przedmieściu kolegów powiedział mu, że Niemcy mogą zastosować represje wobec rodziny, więc wrócił. Nie chciał nas narażać. (A może jeszcze ciągle wierzy! w kulturę i cywilizację najeźdźcy). Dom był chyba pod obserwacją, bo nie minęło pół godziny, gdy przyjechało osobowe auto z oficerem z trupią główką na czapce i Volksdeutschem Steike. Tak we Włocławku zaczęła się akcja „AB” – „Ausserordentliche Befriedigungsaktion”. Pierwszymi jej ofiarami byli znaczniejsi obywatele miasta i powiatu włocławskiego i gostynińskiego. Aresztowano i zamordowano w podwłocławskich lasach ponad stu mężczyzn, w tym prezydenta miasta, prezesa sądu, adwokata, redaktora miejscowej gazety i innych przedstawicieli inteligencji, którzy nie zdążyli lub nie chcieli opuścić miasta. Poza tym, oprócz nauczycieli, aresztowano księży i uczniów Wyższego Seminarium Duchownego oraz ziemian. Księża zginęli w Dachau. Po nauczycielach ślad zaginął.

Przez jakiś czas przebywali we włocławskim więzieniu. Pamiętam rozpacz mamy i nasze wyciekowanie w październikowym chłdzie przed bramą więzienia z nadzieją, że może uda się podać chociaż jakąś paczkę więźniom lub uzyskać odwiedzin. Kiedy uchylała się furta w żelaznej bramie, każdy chciał być jak najbliżej wejścia. Czasami Niemcy pozwalali na odwiedzin młodszym dzieciom. Udało mi się wtedy ostatni raz zobaczyć tatusia. W więzieniu nie było wówczas żadnej sali widzeń, tylko poprowadzono mnie ponurym korytarzem do jednej z cel pełnej mężczyzn. To byli nauczyciele. Niektórych znałam z widzenia. Wśród nich był mój ojciec. Pamiętam, jak obstąpili mnie wkoło i przykucałi przy mnie (byłam bardzo mała), aby włożyć mi do kieszonek jak najwięcej karteczek – pisanych w pośpiechu więziennych grypsów – przeznaczonych dla ich rodzin. Przy wyjściu Niemcy nie rewidowali dzieci, ale do więzienia wpuszczali tylko te wyglądające na młodsze. Ja byłam dwukrotnie. Nie rozumiałam jeszcze wtedy ogromu krzywdy, jaka nas spotkała, i tego, że ojca mogę więcej nie zobaczyć. Mojemu bratu udało się wejść raz. Mimo swoich prawie trzynastu lat był bardzo drobny. Ale nasza czternastoletnia siostra nie miała już tego szczęścia – była zbyt duża.

Jeszcze w październiku nauczycieli i księży wywieziono na zachód. Rodziny jakoś dowiedziały się o godzinie wywozu. Mama z moim rodzeństwem poszła choć z daleka zobaczyć jeszcze raz męża i ojca. Widzieli go wtedy ostatni raz w życiu. Ja tam nie byłam, ponieważ odbywało się to bardzo rano, prawie w nocy. O wywiezieniu ojca dowiedziałam się dopiero rano. Zrozpaczona matka czekała teraz na jakieś wiadomości lub list. Kartka, która wreszcie przyszła, była pisana po niemiecku, tylko podpis był ojca (nie znał tego języka). Pisał, że pracuje przy budowie kolei. List był wysłany z Rudau – obozu pod Królewcem. Odpisywać należało w tym samym języku, więc pomagała nam jedna z krewnych. Potem przyszła chyba jeszcze jedna kartka. Ale z grudnia kartka, wysłana przez nas na Święta, wróciła z adnotacją, że nie ma takiego adresata. Potem już nic nie przyszło. Została tylko rozpacz mamy, która próbowała go szukać, pisząc listy do różnych obozów. Wysyłała je do tych, od których mogła uzyskać adresy, a „skrupulatni” Niemcy odpowiadali, że takiego w danym obozie nie było. Pozostawała jej już tylko nadzieja, pozwalająca jakoś żyć, i troska o los trojga dzieci, i niepokój o ich przyszłość, który jej żyć kazał.

Pamiętam jeszcze jedno zdarzenie. Mój cioteczny brat w wieku zbliżonym do ojca i bardzo z nim zżyty, (on też później zginął), przechodząc przez ulicę, którą przecinały tory kolejowe, zobaczył pociąg jadący w stronę Generalnej Guberni, a w towarowych wagonach stłoczonych ludzi. Z któregoś z wago-

nów usłyszał wywołane dwukrotnie swoje imię. Wrócił do domu i płakał. Był pewien, że to był głos jego ojca. A potem rozeszły się straszne wieści o ludziach zamrożonych na śmierć w towarowych wagonach. Nie chcieliśmy wierzyć, że tam mógł być nasz ojciec. Mama ciągle miała nadzieję. (Kiedy niedawno wpadł mi w rękę biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich z 1953, przeczytałam w nim, że część więźniów z obozów z okręgu Królewca Niemcy wysłali do Polski i ślad o nich zaginął. Teraz więc sądzę, że tamte pogłoski były prawdziwe).

Po aresztowaniach wśród inteligencji przysłała kolej na wysiedlenia rodzin nauczycielskich i oficerskich z miasta i powiatu – tym razem kobiet i dzieci. Wywożono je na wschodnie, najuboższe tereny GG. Nam groziło to samo. Byliśmy na liście do wysiedlenia. Pamiętam tę noc, kiedy siedzieliśmy całkowicie ubrani ze spakowanymi najpotrzebniejszymi rzeczami i czekaliśmy na to, co miało nastąpić. Tej nocy nie przyszli po nas. Rano przyszedł brat tatusia i powiedział, że tego nie musimy się już bać. Jego dawna koleżanka z pracy (pracował przed wojną w magistracie), obecnie „Volksdeutschka”, pracująca przy ewidencji, na jego prośbę, odnalazła naszą kartę w kartotece przeznaczonych do wysiedlenia i usunęła ją. Powiedziała stryjowi: bratowa może już spać spokojnie, bo zniszczyłam tę kartę. Ona w ten sposób też się narażała. Czasem jednak wśród nich również zdarzali się ludzie z sumieniem. Niestety, bardzo rzadko. Kiedy po aresztowaniu mojego tatusia mama prosiła jednego z jego dawnych kolegów o interwencję, nie chciał o tym słyszeć. Sam był nadal nauczycielem, tyle że już w niemieckim gimnazjum. Nie było również możliwości, jak to się zdarzało w GG, przekupienia gestapowców. Przypuszczam zresztą, że sumy, jakie mogłyby wchodzić w rachubę, byłyby i tak dla nas nie do zdobycia, a żadnych, nawet tajnych, organizacji pomocy rodzinom aresztowanych w Warthegau nie było.

Nie mieszkaliśmy już wtedy w naszym domu. Ze wszystkich lepszych i lepiej wyposażonych domów i mieszkań wyrzucono Polaków, nie pozwalając nawet zabrać mebli. Wychodziło się tylko z osobistymi rzeczami. Nasz dom stał dopiero drugi rok i miał wszystkie wygody. Z początku kwaterowali w nim żołnierze Wehrmachtu – wtedy jeszcze korzystaliśmy z jednego pokoju i ogródka. Z chwilą ich wyjazdu na front, na początku 1940, natychmiast pojawił się niemiecki „kwaterunek” i zapieczetował drzwi. Mama, wiedząc już wcześniej, co nas czeka, przeniosła, ile zdołała osobistych rzeczy i pamiątek do mieszkania swej siostry. Był to niewielki pokój bez wygod, za sklepikiem ciotki, blisko – drugi dom od nas. Zdołaliśmy więc jeszcze zabrać krzesła. Reszta mebli została. Zresztą i tak nie byłoby ich gdzie pomieścić. Zaczęliśmy tam wojenne życie w pięcioro, a później w siedmioro, bo wysiedlona siostra ojca, nauczycielkami żona nauczyciela – oficera, będącego w oflagu) po wysiedleniu uciekała jakoś z GG i z malutką, niespełna trzyletnią córeczką, zamieszkała u nas. Przed wojną pracowała na wsi i prawdopodobnie dlatego Niemcy nie skojarzyli jej teraz z nauczycielstwem.

A w mieście coraz bardziej wiało grozą. Wsadzono i spalono synagogi. Żydom zabroniono chodzić chodnikami. Na plecach musieli nosić żółte trójkątne łaty. Włocławek nie charakteryzował się silnym antysemityzmem. Zdarzały się czasem ekscesy kupców, „narodowców”, którzy prowadzili trochę antyżydowskiej propagandy, ale nie można tego powiedzieć o ogóle mieszkańców. W moim domu nigdy nie było antysemityzmu. Moja mama wychowała się w miasteczku, w którym było blisko 50% Żydów. W większości byli to biedni ludzie. Mama miała koleżanki Żydówki i my, będąc tam na wakacjach, bawiliśmy się również z żydowskimi dziećmi. Kiedy teraz oni chodzili tak jeźdźnią z pochylonymi głowami, było mi ich po prostu żal. Kiedyś młodsza kuzynka, z kupieckiego środowiska, powiedziała mi ułożony „ad hoc” do tej sytuacji wierszyk. Byłam na nią oburzona i było mi przykro. Fakt, że zapamiętałam ten wredny dwuwiersz do dziś, świadczy o moim wtedy poruszeniu. A później oni zniknęli z ulic naszego miasta, najpierw aresztowani lub zamknięci w getcie, potem wywiezieni gdzieś do obozu. Ja pamiętam oburzenie mojego taty, kiedy jeszcze przed wojną dowiedział się, że w Niemczech nie wolno Żydowi usiąść na ławce na skwerku. „Jak to – mówił – a jeżeli Żyd poczuje się źle, to nie wolno mu usiąść na ławeczce odpocząć?”. Nie mógł tego zrozumieć.

Teraz i na naszych ławkach i na bramie miejskiego parku pojawiły się duże napisy: „Nur für Deutsche”. Pojawiły się również inne zarządzenia. Włocławkowi zostaje „przywrócona” stara, niemiecka (?) nazwa „Leslau”. Miejskowa gazeta „ABC” (z podtytułem jeszcze po polsku) otrzymuje tytuł „Leslauer Dote”. Wiadomości i ogłoszenia w niej są dwujęzyczne. (Później zastępuje ją niemiecka „Ostdeutscher Beobachter”). Polacy i Żydzi są obowiązani pozdrawiać wszystkich umundurowanych Niemców, kto się nie zastosuje – biją. Wszyscy muszą oddać radioodbiorniki. Poza tym Niemcom przydaje się wszystko, co ma jakąś wartość. Po ulicach jeździ konna platforma, której towarzyszy żandarm. Wchodzą do mieszkań i żandarm wskazuje palcem meble, lub inne wartościowe przedmioty, które po prostu zabierają. Zaczyna obowiązywać godzina policyjna. W grudniu spalone zostaje Grzywno, dzielnica lepianek bezrobotnych. Kilku mieszkańców zastrzelono, część aresztowano, resztę wywieziono. Wykonawcami byli Niemcy i z kilku renegatów, obecnie Volksdeutsche. Zamykają kolejne kościoły. Najpierw katedrę, potem następne. Prawie wszystkich księży wywieziono. Do końca wojny pozostaje otwarta tylko jedna świątynia. Pod kościołami zdarzają się „łapanki”. Osoby powyżej lat czternastu trafiają z nich prosto do Rzeszy na roboty. Sklepy i zakłady produkcyjne przechodzą na własność instytucji i obywateli

niemieckich. Po wysiedleniu rodzin ziemiańskich wyrzuca się również rolników z co lepszych gospodarstw – nie istnieje już własność polska.

Wszystkie napisy i szyldy na ulicach są w języku niemieckim. Głośno mówić na ulicy po polsku także nie można. W sklepach Polacy mogą zaopatrywać się tylko w godzinach od 10 do 17.

Później powstaje Arbeitsamt. Wszyscy muszą być w nim zarejestrowani, począwszy od dzieci, które ukończyły 14 lat. Muszą podjąć pracę lub są wysyłani do Niemiec.

A my ciągle myślimy, że niemożliwe, żeby to mogło trwać, że ten koszmar musi się szybko skończyć, że przecież Anglia i Francja..., że trzeba tylko jakoś to przetrwać. Dlatego moja mama postarała się o sfalszowaną metrykę dla brata, który był bardzo wątpy. Ujęto mu w niej jeden rok. Sądziła, że to wystarczy, by go uchronić od wywózki i pracy ponad siły, bo przecież „to” się powinno wkrótce skończyć – najpóźniej za rok przyjdą nas wyzwolić. Ale Francja szybko pada, a alianci daleko. Jest coraz smutniej i coraz gorzej. Zaczyna się okupacyjna bieda, a potem już wręcz nędza.

Przez pierwszy rok jest jeszcze nieźle. Mieszkamy u cioci, która ma małą sklepik spożywczy, więc jest trochę zapasów. Ale wkrótce sklep zostaje zabrany. Jeszcze można czasem kupić coś poza kartkami, które są racjami głodowymi. Tylko, że nie ma pieniędzy. Mama sprzedaje po kolei lub wymienia na żywność to, co ma jakąś wartość – również ze swoich ubiorów. Pieniądze, które zarabia u Niemców, starczą jedynie na zakupy kartkowe. Niemcy też mają kartki. Ale ich kartki pozwalają na lepsze życie. Gdy ich dzieci do lat 14 dostają specjalnie większe przydziały niż dorośli, polskie dzieci dostają połowę racji dorosłych. Polskie dzieci do lat 6 dostają szklankę pełnego mleka dziennie. Ale ja mam pecha – mam już więcej lat, więc dostaję tę zmniejszoną rację żywnościową, ale bez mleka. Można czasem kupić mleko odciążane, które ma zielonkawy kolor i trzeba po nie stać nieraz w olbrzymim „ogonie”, często na próżno, bo go brakuje. Nie ma szkoły, więc ja mam najwięcej czasu i często robię zakupy w pobliskim sklepie. Wszyscy w domu już pracują. Ciocia najpierw w swoim byłym sklepie, później, ponieważ umie szyć, dostaje pracę chałupniczą. Mamusia, która ma zdolności plastyczne, dostaje pracę również do domu. Maluje drewniane zabawki dla Niemca, który sam je produkuje. To jeszcze jeden z tych pewnie z „V kolumny”, a jak nie on, to na pewno jego brat, obecnie też Volksdeutsche, ale przedtem major Wojska Polskiego. Mają ładne nazwisko: Madalińscy. Przy tym malowaniu ja pomagam także. Od dziecka lubię rysować, więc wykańczam szczegóły. Z tego powodu wstażki przy moich cienkich warkoczyczkach są na stałe poplamione farbami. Farby są szybko schnące, więc produkowane na bazie jakichś chemikaliów, często acetonu. To wszystko robimy w tym jednym pokoju, w którym się je i śpi. Myślę, że to nie służyło mojemu zdrowiu, ale kto mógł tu coś poradzić. A chorowałam często. Nie mogłam jeść surowych jarzyn i owoców. Mówiono, że mam chroniczny katar kiszek (ale dziś myślę, że było to na tle nerwicowym). Gabinetów polskich lekarzy nie ma, więc mama próbuje leczyć mnie ziołami, niestety, z małym skutkiem. Bardzo często dla mnie jedynym możliwym jedzeniem jest kleik z jęczmiennej kaszy, bo kartkowy chleb przypomina glinę, a pszennego pieczywa lub ryżu na polskich kartkach nie ma. Ten kleik jest dla mnie taką zmorą, że do dziś nie znoszę zapachu jęczmiennej kaszy. Jestem bardzo chuda i za mała na swój wiek. Wyglądam tak mizernie, że pewnego razu słyszę jak stojące za mną w kolejce do sklepu kobiety mówią: „To dziecko jest chyba chore”. Miałam bardzo mało siły. Kiedy czasem musiałam przynieść wody z odległej o jakieś sto parę metrów pompy (nasza podwórkowa studnia miała tylko wodę podskórną, pełną komarzych larw), mogłam udźwignąć jedynie niezbyt wielki blaszany dzbanek. A z samym pompowaniem miałam problem, bo nawet całkowite uwieszenie się na dźwigni nie powodowało jej opuszczenia. Czekałam więc zwykle, aż ktoś silniejszy będzie pompował i gdy skończył szybciotko podstawiałam swój dzbanek. Dźwignia jeszcze była w ruchu i łatwiej mi było zmusić ją do wydania jeszcze litra lub dwu. Później Niemcy założyli na rogu ulicy budkę z kranem wody pitnej (z wodociągu). Myślę, że obawiali się epidemii, bo w mieście zdarzały się wypadki duru brzuszego.

Z wyższeniem jest coraz gorzej. Nielegalny handel prawie nie istnieje, bo za to idzie się do lagru. Z początku jeszcze próbujemy przywozić coś niecoś od rodziny z Kowala. Jeździ się tam na przepustkę pociągiem i potem 5 kilometrów pieszo. Później już nie wydawano, więc czasem chłopską furą. Ale ze strachem, gdyż szosę patrolują konni żandarmi i często rewidują wozy i jadących.

Nie brakowało tylko kartofli, chociaż pod koniec wojny i na nie Niemcy wprowadzają kartki (na rok 1944 i 1945), ale nie zdążyli już ich zrealizować. Jest jeszcze kapusta. Zakwaszona w wielkiej beczce stoi w małej kuchni, w której zimą na ścianie osiada szron, przy drzwiach na dwór. Ona jest także naszą „zmorą”, bo pod wiosnę wydaje bardzo przykry zapach. Jest także na piecowym murku garnuszek z kiszającym się permanentnie żurkiem.

Kartofle z jęczmienną kaszą, żurek i kapuśniak, to najczęstsze dania obiadowe. Z okraszeniem jest gorzej, a mięso bywa tylko raz w tygodniu, kiedy zbierze się razem przydział z kartek wszystkich domowników. Latem dochodzi trochę owoców, rabarbar i dynia.

W pierwszych latach była jeszcze marmolada „vierfrucht” – „cztero-owocowa”, ale właściwie na bazie buraków, więc pewnie w proporcjach: jedna wiśnia, jedna śliwka, jedna czereśnia i jeden duży, czerwony burak. Czasem można było kupić produkt uboczny z cukrowni, ciemnobrązową melasę.

Jeżeli zdarzyło się kupić od kogoś fasolę, to był to wielki rarytas. Pamiętam, jak raz uszyłam, na prośbę sąsiadki (dla jej chrzestnej córki na wieś) szmacianą lalkę z własnoręcznie wymalowaną buzią. Dostałam za nią przywiezioną przez tę panią sporą torbę fasoli – to była dobra zapłata. Drugiej sąsiadce narysowałam obrazek, na imieniny jej męża, a pewnemu znajomemu namalowałam na przyniesionych kartonikach kilka obrazków, przeznaczonych na klosik do nocnej lampki. Ten pan nie dał mi nic w naturze ani pieniędzy, lecz coś znacznie cenniejszego – kartki na 2 kg chleba (zdarzyło nam się już bowiem jadać kartofle z czarną zbożową kawą na kolację). Malowaliśmy również z bratem kartki świąteczne na sprzedaż wśród znajomych. Żeby podratować budżet, mama nawiązała kontakt z kimś, kto sztancą wycinał z cienkiego pakowego papieru koperty, a my zabieraliśmy je do klejenia i sprzedaży. Była to oczywiście sprzedaż pokątna!

Coraz gorzej było z odzieżą i obuwem. Wyrastaliśmy ze starych rzeczy, a przydział na nowe dostawało się bardzo rzadko. Ja dłuższy czas nie miałam zimowego palta, wreszcie uszyto dla mnie płaszcz, przerobiony z dwóch starych.

Szkół polskich nadal nie było. Niemcy otworzyli tylko jedną, chyba trzyklasową szkołę, dla Polaków, chcąc mieć w przyszłości „Leistungpole” ze znajomością niemieckiego i rachunków. Ale nikt, kto naprawdę czuł się Polakiem i wierzył w powrót Polski, swoich dzieci tam nie posyłał. Było także kino dostępne dla Polaków, lecz na ogół bojkotowane. Pamiętam nasze oburzenie, kiedy jedna ze znajomych zaprowadziła tam swoją małą siostrzenicę, tłumacząc się, że chciała, aby dziecko wiedziało, co to jest kino. Nam by to do głowy nie przyszło.

Nasz dom był smutny, ale staraliśmy się być sobą – Polakami. Pamiętam wieczorne głośne czytanie książek, które udało się wypożyczyć od znajomych. W niedziele czasem odwiedzała nas rodzina. Przy zbożowej czarnej kawie, czasami nawet słodzonej sacharyną, dodawaliśmy sobie wzajem otuchy, przekazując różne wieści, czasem pełne nadziei (ale zdarzały się tragiczne). Oprócz tego mama przynosiła „gazetki”, pochodzące przeważnie z nasłuchu radiowego, oczywiście nielegalnego, bo wszystkie zarejestrowane odbiorniki zostały odebrane już na początku okupacji. Mama te „gazetki” przynosiła czasem w butach.

Sfalszowana metryka, o której pisałam, nie uchroniła mojego brata. Już pracuje od rana do 18 godzin. Całe szczęście, że kierowniczką młodzieżowego Arbeitsamtu jest była koleżanka tatusia – oczywiście „Volksdeutschka” – która przez pamięć o nim trochę próbuje nas chronić. Dzięki temu brat nie trafia do Niemiec. Chroni również moją siostrę. Ona wygląda już jak kobieta i mamusia bardzo się boi, by nie dostała się w szwabskie łapy. Ta Niemka idzie nam na rękę i nie przymusza siostry do pracy. Ale w roku 1943 ta ostatnia kończy 18 lat, jej karta musiałaby przejść do Arbeitsamtu dla dorosłych, a tam już nikt by jej nie chronił. Więc kierowniczka tego młodzieżowego nie odsyła karty siostry, lecz niszczy ją, a mamusi mówi, że teraz już musi sama bardzo uważać, żeby siostra nie wpadła w oczy innym Niemcom, bo ona już nic nie będzie jej mogła pomóc. Siostra zaczyna się ukrywać. Kiedy w pobliżu pojawia się Niemiec, schodzi do małej kuchennej piwnicy z klapą, gdzie przechowuje się kartofle. Od tej pory poza dom wychodzi tylko rzadko i o zmroku. Sąsiedzi chyba o niej wiedzą, ale nikt nie donosi. Tak dotrwała do końca wojny.

Pracujący mają Ausweis. Prócz tego wszyscy Polacy mają tzw. placówki. Są to kartki z danymi personalnymi i odciskiem kciuka – taki dowód tożsamości. Niemcy bardzo dbają o niemieszanie się ras i pewnie dlatego od 1943 wszystkie nowo narodzone dzieci muszą mieć obowiązkowo w metryce drugie imię słowiańskie „Kazimierz”, lub „Kazimiera”.

Terror hitlerowski jest coraz większy. Działają specjalne niemieckie sądy. Coraz częściej efektem ich działalności są czerwone płachty ogłoszeń z nazwiskami pomordowanych. To są ci, którzy próbują działać, stwarzać jakieś komórki organizacji.

Jeszcze parę słów o tajnym nauczaniu: zorganizowanej sieci tajnego nauczania nie było z powodów, które opisałam na początku. Jednak niektóre nauczycielki, które zdołały uniknąć wysiedlenia, zaczęły prowadzić tzw. komplety. Były to grupy dzieci lub młodzieży, liczące zwykle 4-6 osób. Lekcje odbywały się w prywatnych mieszkaniach nauczycieli lub rodziców uczniów. Mnie z początku uczyła mieszkająca z nami moja ciotka, która przed wojną uczyła młodsze oddziały. Mówiąc szczerze, nie bardzo lubiłam te samotne lekcje. Brakowało mi obecności rówieśników i jakiegoś współzawodnictwa, po prostu nudziłam się. W 1943 mama nawiązała kontakt z nauczycielką, była komendantką harcerstwa (jej aresztowany mąż był również komendantem harcerstwa – zginął w Dachau). Pani Woźnicka prowadziła kilka takich kompletów. (Ja wiem o trzech, ale może było więcej). Przez solidarność i znając naszą sytuację, nie brała od nas żadnych pieniędzy. Moje rodzeństwo chodziło do grupy przerabiającej kurs gimnazjalny. Jednak po kilku lekcjach ten kurs musiał się skończyć, bo rodzice ucznia, w którego mieszkaniu się odbywał, zrezygnowali – może się bali. Ja z koleżankami przerabiałam klasę piątą. Był jeszcze kurs klasy szóstej. Te komplety p. Woźnicka prowadziła we własnym mieszkaniu. Sąsiedzi, których dzieci również uczyła, starali się obserwować ulice, aby zapewnić nam bezpieczeństwo. W razie „alarmu” mieliśmy natychmiast, po schowaniu książek i zeszytów, rozpocząć jakąś grę lub zabawę jako koleżanki jej córki, która była w podobnym do nas wieku.

Mijają kolejne lata okupacji. Coraz trudniej zachować nadzieję. Ginie coraz więcej ludzi, aresztowanych przez Gestapo. Pocieszające są tylko „gazetkowe” wiadomości z frontów – Niemcy zaczynają ponosić klęski. Ale tu na miejscu „Ordnung” musi być i wszystko idzie utartym trybem. Niemcy zaczynają dobierać sobie tych, którzy będą im potrzebni jako siła robocza i dadzą się wynarodowić. Tworzą więc grupę ludności tzw. Leistungpole – wydajni Polacy. Ulegli ludzie, którzy godzą się zapisać na tę listę, mogą sobie poprawić byt. Ich karty żywnościowe są takie lub prawie takie same jak Niemców (taka niemiecka „miska soczewicy”), tak zwane białe kartki. Ich dzieci nie muszą chorować z niedożywienia. „Leistungpole” zostaje się dobrowolnie. My nie możemy zrozumieć, jak Polacy mogą się na to godzić, kiedy robią to nasi byli sąsiedzi. Ale takich jak my czeka w dalszej kolejności, po „rozwiązaniu kwestii żydowskiej”, prawdopodobnie coś w rodzaju „Holocaustu”, bo tu ma być Rzesza. Niemcy są jeszcze w 1944 pewni, że mogą zwyciężyć. Wystawiając kartki na kartofle, wpisują ich ważność do lipca 1945. Ja kończę w sierpniu 1944 roku 14 lat i Arbeitsamt już się o mnie dopomina. W sierpniu powinienam już iść do pracy. Jedna dobra strona to to, że z chwilą ukończenia 14 lat dostanę „dorosłe” kartki żywnościowe.

W drugiej połowie 1944 fabryka, w której pracuje mój brat, zostaje ewakuowana i wywieziona do Grazu (Grodzisk k. Poznania). I to jest znów dla nas dramat. Z początku przychodzą listy, ale potem przybliża się front i nie ma od brata żadnych wiadomości. U nas zaczynają się bombardowania już w 1943. Czasem uciekamy w czasie alarmu do sąsiednich ogrodów. Alarmy są coraz częstsze, poważnie w nocy. Boimy się teraz już nie tylko Niemców, ale i bomb.

Kiedy zbliżał się front, część Polaków wysłano za miasto do kopania okopów. Spotkało to także i moją mamę oraz ciotkę – nauczycielkę. Moja mamusia była bliżej, więc mogła dojechać „wąskotorówką” do domu. Na okopach umyślnie pracowała bardzo wolno, udając, że nie rozumie, co po niemiecku wrzeszczy komendant, który konno objeżdżał teren robót. Taka demonstracja mogła się natychmiast dla mamy bardzo źle skończyć. Na szczęście była od hitlerowca oddalona dość już głębokim i szerokim wykopem i Niemiec nie zaryzykował skoku. Jednak kazał kierownikowi grupy zapisać jej nazwisko do ukarania – groził jej obóz. Na szczęście Volksdeutsche już wtedy byli łagodniejsi, bo front był blisko. Ten zaprowadził mamusię natychmiast do lekarza i pomógł jej otrzymać zwolnienie z „okopów” z powodu choroby serca (którą rzeczywiście miała). W ten sposób zeszła sprzed oczu hitlerowca.

Po powrocie do Włocławka mama została skierowana do pracy przy obieraniu ziemniaków w kuchni w zakładach fajansu. Tam pracowała do wyzwolenia. Pracownicy kuchni dostawali przydział 5 dag kielbasy lub maleńką kostkę masła czy margaryny. Ona tego sama nie jadła, przynosiła nam.

O tatusiu przez cały czas nie ma nadal żadnych wiadomości. Nasza nadzieja objawia się już chyba tylko w wierze. Pamiętam wspólne wieczorne różańce i litanie do Matki Boskiej. Wieści o zbliżającym się froncie trochę ją podsycają. Czy wierzę w moc tej modlitwy? Nie wiem, nie jestem zbyt religijna, ale jednak Polska kojarzy mi się widocznie z Matką Boską, bo na ostatnie wojenne imieniny mamy rysuję dla niej Częstochowską nad mapą Polski.

Początek końca

Front postępuje. Niemcy zaczynają się ewakuować. Patrzymy z satysfakcją, jak wyjeżdżają. W ostatni dzień okupacji Niemcy ogłaszają, że Polacy mają się stawić w parku miejskim od strony ulicy Toruńskiej. Idę wieczorem z mamusią zobaczyć, czy znaleźli się chętni. Niemcy chyba na koniec chcieli nam sprawić jakąś (być może krwawą) niespodziankę. Na szczęście nie zdążyli. Zamiast do parku, kiedy zaczyna się wieczorem alarm, chowamy się wraz z sąsiadami do piwnicy domu, który zaadaptował dla siebie niemiecki inżynier. Zamknął tylko mieszkanie, piwnicę zostawił otwartą. Jest nas tam kilkanaście osób, przeważnie kobiety i dzieci. Około północy Niemiec jeszcze wraca. Przyjechał z drugim na motocyklu. Najwyraźniej się boi. Do piwnicy wchodzi z wyciągniętą, gotową do strzału bronią. Ale nie próbuje nas wypędzić. Idzie tylko do głównego ujęcia wody i zakręca zawór. Na dworze jest spory mróz i on, jako dobry gospodarz, chce zabezpieczyć instalację domową przed popękaniem. Widocznie ma nadzieję, że jeszcze wróci. Wszystko odbywa się w głuchym milczeniu. Zrobiwszy swoje, wsiadają na motor i odjeżdżają. My zostajemy do rana. Jeszcze zupełnie o świcie przychodzą chłopcy sąsiadki i przynoszą nam pierniki i cukierki. Te słodczyce pochodzą z będącego w pobliżu, rozbitego już przez ludzi magazynu żywności. Wychodzimy wszyscy.

Ofensywa ominęła miasto. Na placu Wolności stoją sowieckie czołgi. Na wieży ewangelickiego kościoła ukryli się hitlerowcy. Strzelają i zabijają krasnoarmiejców. Czołgi odpowiadają ogniem, uszkadzają więź kościoła, ale likwidują to zbójce gniazdo.

Nie ma chleba. Jeszcze przez długi czas jemy „Knackebrot” (przyniesiony z tamtego magazynu). To jest coś, co dziś chyba nazywamy chrupkim chlebem. Jedliśmy go zbyt długo i chyba dlatego go nie lubię – zbyt przypomina tamten.

Rano idziemy do naszego domu. Mama zachowała klucze i okazuje się, że zamki są nie zmienione. Dom jest pusty. Zdążyli zabrać wszystkie rzeczy. Nawet meble są już częściowo złożone i opatrzone nalepkami adresowymi. Nocujemy już w swoim domu. Teraz mama wysyła mnie do sąsiadów (dom jest „bliźniakiem”). Mieszkają niedaleko i powinno zaraz przyjść, żeby pilnować swego domu przed złodziejami – ludzie już rabują poniemieckie mieszkania.

Po drodze uśmiecham się do nawet mało znanych sąsiadów, szczęśliwa, że nie ma już „szwabów”. I ludzie odpowiadają mi uśmiechem.

Ale wojna jeszcze się nie skończyła. Powoli jednak zaczynają wracać ludzie wywiezieni przymusowo na roboty. Najpierw ci z zachodnich terenów Polski, później ci z Niemiec. Mojego brata ciągle nie ma. Biedna mama wychodzi codziennie na ulicę pytać o niego wracających. Wreszcie przychodzi po dwóch tygodniach, slaniając się na nogach, ale cały i zdrowy.

Po ojcu i jego stu kilkunastu kolegach ślad zaginął. Mama długo nie chce wierzyć w jego śmierć, a potem już do końca życia będzie tęsknić.

Pamiętam jeszcze coś, co zdarzyło się tuż po wyzwoleniu. To drobne, na pozór, wydarzenie to swego rodzaju prognoza, która okazała się prawdziwa. Otóż pewnego wiosennego dnia odwiedził nas żołnierz w mundurze polskiego oficera (być może był z armii Berlinga). Dowiedziawszy się, że mama jest żoną oficera i byłego legionisty, rozmawia z nami dość szczerze. Mówi nam, czego można się spodziewać po komunistycznej władzy. To, niestety, później się sprawdziło.

Ale teraz jest jeszcze euforia. Znikają z szyldów niemieckie napisy, na ulicy nie słychać ich mowy. Park jest otwarty, można krzyczeć i śpiewać głośno. Nie ma „Haekenkreuzów”, wiszą tylko nasze, polskie flagi, a my powróciliśmy do swego domu. W lutym zaczyna się organizować szkolnictwo. Młodzież wrocławska sama z entuzjazmem czyści i porządkuje szkolne budynki, wykorzystywane przez Niemców do innych celów. W marcu jesteśmy już w szkole, polskiej szkole! I to właśnie nazywam WYZWOLENIEM.

To, co opisałam wyżej, to zdarzenia prawdziwe. A teraz, na tym tle, chciałabym pokazać bardziej osobiste uczucia dziecka, jakim przecież wtedy byłam. To już nie będą fakty, które można udokumentować, ale które mogą wiele powiedzieć o tamtej rzeczywistości, oglądanej i odczuwanej przez dziecko i o naszych nastrojach.

Nie będą to zdarzenia w układzie chronologicznym, lecz tylko luźne „obrazki”, mówiące o różnych sytuacjach i uczuciach, jakie im towarzyszyły, na tyle jednak ważne dla dziecinniej psychiki, że zostały zapamiętane.

Nasza Mama

Była młoda, bardzo ładna i przynajmniej, na początku, jeszcze dobrze ubrana. Była dumna i wytrwała. Po aresztowaniu tatusia właściwie bardzo rzadko płakała w naszej obecności. Tylko jej oczy stały się jakby czujne i smutne i, jak ja to nazywałam, „wyplakane”. Takie już jej zostały na zawsze. Kiedy w latach 80, po jej śmierci namalowałam jej portret, na którym jest uśmiechnięta, ktoś spytał mnie: „Dlaczego zrobiłaś jej takie smutne oczy?”. Odpowiedziałam: „Bo takie już tylko zapamiętałam”. Ona nigdy nie pogodziła się ze śmiercią ukochanego człowieka, swojej jedynej miłości.

Napisałam, że była dumna. To prawda, miała w sobie również ducha przekory, co w ówczesnych warunkach mogło się dla niej źle skończyć. Pamiętam takie charakterystyczne zdarzenie: Niemcy zbierali do puszek datki na pomoc zimową dla żołnierzy, oczywiście tylko od swoich. A ponieważ mama jeszcze wtedy była elegancko ubrana, sądzili, że jest Niemką i podstawiali jej puszkę. Kiedy się to zdarzyło pierwszy raz, włożyła im ukradkiem mały guziczek wielkości feniga. Ale gdy została zaczepiona po raz drugi, rozgniewana powiedziała dumnie: „Ich bin Polin” i zostawiwszy zbaraniałych „zbieraczy” odeszła. Baliśmy się potem, że za tę „arogancję” mogą ją spotkać jakieś represje, ale szczęśliwie nic się nie wydarzyło.

Zabawa w „świnki” i Arbeitsamt

W sierpniu, kiedy kończę 14 lat, dopomina się o mnie Arbeitsamt – mam się zgłosić w urzędzie. Mama, chcąc bym wyglądała jak najbardziej dziecinnie, ubiera mnie na tę okazję w moją jeszcze komunijską sukienkę. Noszę ją dotąd. Jestem tak drobna i chuda, że zupełnie dobrze się w nią mieszczę. Jest tylko sporo przedłużona. Wyglądam w niej chyba na niewiele więcej niż 10 lat, a kończę przecież 14.

Przyjmuje mnie ta sama kierowniczką co moje rodzeństwo. Być może mamusia opowiadała jej o naszych zdolnościach plastycznych, a może opowiadał o tym jeszcze tatuś, bo oboje z bratem kochamy rysowanie od trzeciego roku życia. Mój brat jeszcze teraz w czasie wojny w wolnych chwilach odpooczywa przy malowaniu. Maluje piękne, romantyczne pejzaże. Ja wolę rysować ludzi, i to mi nieźle

idzie. Rysuję już czasem portrety moich najbliższych, z natury i kwiaty. Teraz Niemka, chcąc widocznie sprawdzić moje zdolności, pokazuje wiszący na ścianie portret Fuhrera i każe mi go skopiować. Robię to niezbyt chętnie, bo to przecież Hitler. Ale przypominam sobie, że już go nieraz rysowałam. Była to taka stara zabawa: rysowało się na czterech rogach kartki z zeszytu świnki. Te świnki były łaciate. Po specjalnym złożeniu kartki część każdej z nich znajdowała się na wierzchu. To, co na świni było łatkami, po złożeniu okazywało się ludzką twarzą. To właśnie do tej zabawy rysowałam na złożonej już kartce twarz Fuhrera. I to nie schematycznie, lecz kopiując ją ze znaczków pocztowych. A zabawa z tą kartką nazywała się „cztery świny, piąta na dodatek”. Niezbyt w tych czasach bezpieczna zabawa. Teraz kopiowanie portretu nie sprawia mi trudności. Niemka widocznie uznała mój „kunszt”. Dała i stempelek w karcie, stwierdzający stawienie się w Arbeitsmacie, i puściła do domu.

Duma, baśnie, tęsknoty i dzieci

W naszym domu mieszkali repatrianci (chyba „Baltendeutsche”). Mieli trzy małe córeczki. Te niemieckie dzieci pewnie nie były szczęśliwe. Myślę, że łaknęły towarzystwa rówieśników. One też, przywiezione tu, musiały zostawić dawnych przyjaciół lub domy, które może kochały. Nie wolno im się było bawić z polskimi dziećmi, ale szukały z nimi kontaktu. Pamiętam, jak raz jedna z nich wyszła przed furtkę i zawołała będące na ulicy polskie dzieci, chcąc im podarować różne drobne przedmioty do zabawy. Dzieciaki rzuciły się hurmem po zabawki. Ja zostałam sama, patrząc na to z oburzeniem. Mnie duma nie pozwoliłaby biec tam i brać czegokolwiek. (One przecież były Niemkami i mieszkaly w zabranym mi domu i ogródku!). Od tamtej pory, z konieczności, moim miejscem zabaw stała się ulica i wykopane, bodajże w 1939 roku, rowy przeciwlotnicze. Bardzo wtedy tęskniłam za moim ogródkiem, który był dla mnie azylem chroniącym przed brutalnością niektórych dzieci z sąsiedztwa. Moją zabawą na dworze było najczęściej rysowanie na piasku lub budowanie z niego, pod oknem naszego mieszkania, „ogródków”, w których polne rośliny pełniły funkcję drzew i krzewów, a miseczka z dziurawej „wazówki” była stawem. Ale to wszystko było bardzo szybko niszczone. Ciągle myślałam o prawdziwym ogródku i parku, które były dla mnie niedostępne.

W pobliżu naszego domu był „pałacyk”. Była to przed wojną własność rodziny ziemiańskiej. Wkoło był piękny park z trawnikiem, od ulicy oddzielony ogrodzeniem z kutego żelaza. Na trawniku kwitły żółte tulipany. Lubiłam tam chodzić i przyglądać im się przez ogrodzenie. Pałacyk był z dwubarwnej cegły, a jego dach był ozdobiony wzorem z kolorowych dachówek. Miał także wieżę z metalowym szpiczastym hełmem. A ja wyobrażałam sobie, że jest to pałac królewski i że mieszka na wieży królowna. Zawsze kochałam baśnie, a Andersen był naszą pierwszą własną książką i ulubioną lekturą. (Chyba jednak nigdy nie wierzyłam w bajki). W tamtym pałacyku mieszkał teraz dyrektor jednej z fabryk. Jego córeczka była w podobnym do mnie wieku. Widywałam ją czasem, jak jeździła powozem do miasta (cywile, nawet Niemcy, nie mieli wówczas aut) prawie zawsze sama. Nie widywałam jej nigdy z innymi dziećmi. Wydawało mi się, że jest smutna i samotna. Chociaż wiedziałam, że jest Niemką, czułam do niej jakąś sympatię – może to było skojarzenie z królowną na wieży.

I oto raz się zdarzyło, że kiedy stałam z moją czteroletnią cioteczną siostrzyczką i innymi dziećmi pod żelazną kratą, z pałacyku wyszła tamta dziewczynka. Miała prawie czarne włosy i jasne oczy w szczupłej twarzyczce. Wyszła za furtkę i powiedziała „chodź”. A kiedy nie kwapiłam się do wejścia, wzięła mnie za rękę. Moja mała siostrzyczka chciała wejść także, ale tamta odsunęła ją i pociągnęła mnie za sobą. Wtedy mała zawołała: „Jak mnie nie zabierzesz, to powiem cioci!”. To czteroletnie dziecko już wiedziało, że „zadawanie się” z niemieckimi dziećmi nie jest w naszym domu mile widziane. I choć jej okrzyk był spowodowany chęcią wejścia także do tego „czarodziejskiego” miejsca, to jednak świadczy! o domowej atmosferze. Ale ja wówczas nie umiałam się oprzeć, zapomniałam o swojej dumie. Miałam wtedy 11 lat.

Dlaczego tamta z grupki dzieci wybrała akurat mnie? Może dlatego, że tak często przyglądałam się temu domowi. Miałam zwyczaj siadywać w lecie na drewnianej poręczy przy skarpie, skąd z dość dużej odległości widziałam pałacyk z tarasem od strony ogrodu. Któregoś dnia zdawało mi się, że siedzące na tarasie towarzystwo zauważyło mnie i pokazywało sobie wzajem. Być może wtedy była też tam ta mała Niemka i dlatego chciała mnie poznać, a może też czuła się samotna. Tamtego dnia zaprowadziła mnie do kupy piachu leżącego pod budynkiem i tam miałyśmy się bawić. Dała mi kredę i powiedziała (ona trochę umiała po polsku – pewnie od służby), że napiszemy na murze swoje monogramy. I wtedy zdarzyło się coś, co wydało mi się bajkowe – nasze monogramy były identyczne. Nasza zabawa nie trwała długo. W furtce ukazał się nastolatek na rowerze. To był jej brat. Wtedy powiedziała: „Uciekaj, bo on będzie krzychał” – a więc jej także nie było wolno bawić się z polskimi dziećmi. Uciekłam. Chłopak nie krzychał, tylko widziałam jeszcze, jak pochylił się nad siostrą i coś jej tłumaczył.

Nie poszłam więcej w tę uliczkę. Nie siadywałam również odtąd na poręczy przy skarpie. I chociaż w domu nikt się o tamtym zdarzeniu nie dowiedział, czułam się zawstydzona, że uległam.

Upokorzenie

Jeszcze jedno wspomnienie z tego okresu. Moja ciocia szła, jako chałupniczka, męskie koszule dla niemieckiej firmy. Ja czasem musiałam je odnosić. Kiedy raz odniosłam uszyte koszule, odbierała je nie, jak zwykle, pracująca tam „Volksdeutscherka”, lecz sama szefowa Frau Zils – Niemka z Rzeszy. Obejrzała robotę dokładnie. Wszystko było w porządku, więc powiedziałam „do widzenia” i odwróciłam się, żeby wyjść. Zatrzymał mnie krzyk Niemki. Zorientowałam się, że żąda pożegnania po niemiecku. Udając, że nie rozumiem, powiedziałam znów po polsku: „Do widzenia”, i zmierzałam do drzwi. Ale znów mnie zawrócił krzyk szefowej. Wróciłam, lecz nadal patrzyłam nierozumiejącym wzrokiem. Krzyczała na mnie. Nie wszystko rozumiałam, ale widziałam, że była zła. Wówczas towarzysząca jej „Volksdeutscherka” powiedziała do mnie po polsku, że mam powiedzieć „auf Wiedersehen”, a nie „do widzenia”, bo inaczej pani mnie nie wypuści. Niemka nadal się złościła. I wtedy się załamalam. Pomyślałam o mojej mamie – co ona zrobi, jak nie wrócę do domu. Powiedziałam to przekłete „auf Wiedersehen”. Wtedy pozwoliła mi odejść. Wychowana na patriotycznych pieśniach i powieściach o różnych małych bohaterach z tamtej wojny, czułam się tak poniżona i upokorzona tym zdarzeniem, że nie opowiedziałam o nim ani nie zwierzyłam się nikomu nieomal do dziś. A przecież byłam wtedy tylko zastraszonego dzieckiem.

Nauczycielka

Bardzo chętnie chodziłam na „komplety”. Pamiętam, jak idąc na lekcje, patrzyłam, jak mi się zdawało, bardzo bezczelnie w oczy mijanym żandarmom, bo oni nie wiedzieli, że idę na lekcje po polsku i że mam pod „serdaczkim” zeszyty i książki. Nie miałam wtedy jeszcze zimowego paltka i nosiłam późną jesienią starą kamizelkę podbitą futerkiem. W dużej, przyszytej wewnątrz kieszeni, w której dawniej, kiedy jeszcze można było jeździć na wieś, przemycałam żywność, teraz nosiłam polskie książki.

Do mojego domu przychodziła zaprzyjaźniona kobieta z sąsiedztwa. Była sprzątaczką w sklepach spożywczych. Dostawała za to czasem coś z żywności. To była dobra kobieta. Widząc, jaka jestem blada i mizerna, przynosiła mi nieraz trochę mleka. Jej mąż był w Niemczech na robotach. Miała synka, chyba siedmioletniego i czteroletnią córeczkę. Pewnego razu poprosiła, czy nie mogłabym uczyć jej synka. Zgodziłam się i w ten sposób z uczennicy stałam się również nauczycielką. Miałam już wtedy około trzynastu lat.

Ten dzieciak już znał litery i bardzo rwał się do czytania, a matka, sama analfabetka, bardzo pragnęła, by się uczył. Zaczęłam go więc uczyć polskiego i rachunków. (Zawsze lubiłam dzieci). Chłopczyk był rzeczywiście zdolny i chętny. Miałam tylko jeden poważny problem. Ktoś, kto uczył go alfabetu, podawał mu litery w brzmieniu sylabowym: „AO, BE, CE”... i dzieciak nie mógł sobie poradzić ze składnią. Kiedy miał przeczytać słowo np. „kotek”, najpierw czytał „kałotek” (mówił trochę gwara, bo matka pochodziła ze wsi). Z tym „kałotkiem” miałam najwięcej kłopotu. Myślę, że nawet prawdziwa nauczycielka miałaby z tym pewne trudności. Ale chyba poradziłam sobie, bo po wojnie przyjęto chłopca od razu do drugiego oddziału.

Mydło

Niemcy lubili czystość, więc dostawaliśmy na przydział kawałek gliny, który nazywał się mydłem. Był szary, szorstki i wcale się nie pienił. Dodatkowo do tego był jeszcze kawałek czegoś bardziej tłustego, co miało służyć chyba za mydło toaletowe.

Ale oto pod koniec okupacji zaczęliśmy dostawać dziwne mydło toaletowe. Było ono bardzo lekkie, tak że nie tonęło, lecz pływało po samej powierzchni wody. To mydło miało kremowo-zielonkawy kolor i jakiś specyficzny, niemiły zapach. Zaczęły chodzić słuchy, że jest to mydło z żydowskich trupów. Ta pogłoska była tak makabryczna, że nie chcieliśmy w nią wierzyć – była zbyt nieprawdopodobna. Uważaliśmy, że ktoś wymyślił ponury żart.

Niestety, teraz dopiero uwierzyłam, kiedy rok czy dwa lata temu znalazłam w prasie dwa artykuły dyskutujące o tym, czy Niemcy mogli to robić. Jeden z artykułów podawał, że w Gdańsku istniało laboratorium, w którym prof. Spanner robił takie próby, ale autor artykułu sądził, że poza próby Niemcy nie wyszli. I tu według mnie się mylił. Te próby były, jak widać uwieńczone powodzeniem, a mieszkańcy Warthegau byli tymi, na których najwyraźniej testowano nowy, udany produkt.

Krew

Często bawiłam się z dziećmi z sąsiedztwa. Były z różnych środowisk, ale przeważnie z rodzin robotniczych. Pewnego razu byłam w domu dwu dziewczynek. Ich ojciec czasem robił im zabawki z drewna. Starsza dziewczynka pokazała mi drewniany samochód. Zauważyłam, że zabawka była podpisana pod spodem brunatnym kolorem. I wtedy starsza dziewczynka powiedziała mi, że to jej tatuś skaleczył się przy robocie i tak podpisał swoją krewią. Ona dalej nie komentowała tego czynu, ale odniosłam wrażenie, że nie jest to dla niej nic ważnego. Ja nie tyle zrozumiałam, co przeczulałam symbolikę tamtego gestu. Zrozumiałam ją do końca dopiero wtedy, gdy po jakimś czasie nazwisko tego człowieka zobaczyłam na czerwonej płachcie afisza, obwieszczającego śmierć z wyroku hitlerowskiego sądu. Był działaczem tajnej organizacji.

Zamiast epilogu

Nasz nowy dom został przez 5 lat wojny poważnie zniszczony. Ostatni jego lokatorzy dostali go prawdopodobnie w zamian za „porzucone mienie”, pozostawione w kraju, z którego się „repatriowali”. Domyśliliśmy się tego, kiedy pewnego dnia odwiedził nas, w naszym wojennym mieszkaniu, niemiecki urzędnik, każąc mamusi podać wartość (przedwojenną) naszego domu. Teraz w 1945 roku ci „repatrianci” musieli go opuścić.

Ciekawa jestem, komu w takim przypadku p. Erika Steinbach przyznałaby odszkodowanie?

Kto przyzna nam odszkodowanie za zamordowanie ojca? Kto przynajmniej odpowie na pytanie: „Gdzie jest jego grób?”. Kto wynagrodzi nam gehennę sierocego, wojennego dzieciństwa? – w mieście „Leslau”, w „Warthegau”, przyłączonym do Rzeszy.

Myślę, że hitlerowska akcja „Ausserordeentliche Befridigungsaktion” na naszych terenach spełniła, niestety, swoje zadanie. Większość miejscowej inteligencji wymordowano, a ci, co zdołali uciec i spędzili wojnę w Generalnej Guberni, nie mogą świadczyć, jak żyło się w „Warthegau”.

Czasy powojenne nie sprzyjały rozwinięciu się jakiegoś znaczącego środowiska literackiego we Włocławku. Losy „Warthegau” i zwłaszcza „Leslau” są, w moim odczuciu, jakby białą plamą w literaturze (lub filmie). Robotnicze miasto miało tylko prawo do „Pamiętki z Celulozy”. Pamięć martyrologii i wspomnienia zastrzeżone są chyba tylko dla Powstania Warszawskiego, Katynia, Oświęcimia i ewentualnie losów „sybiraków”.

Gdybym miała porównać do czegoś okupacyjną Polskę, to chyba do statku, którym dowodzi okrutny, krwiożerczy kapitan. Mieszkańcy GG to pozornie wolni majtkowie, którzy mają jeszcze jakiś wybór swego losu. Mogą spróbować unicestwić kapitana i opanować statek lub zginąć. My na tym statku byliśmy tylko zakutymi w łańcuchy galernikami.